

FREDRIK BACKMAN

MY PRZECIWKO WAM

PRZEŁOŻYŁA ANNA KICKA

MARGINESY

Vi mot er

COPYRIGHT © 2017 BY Fredrik Backman

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Kicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

Dla Nedy.

Nadal próbuję Ci zaimponować.

Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Widzieliście kiedyś upadające miasto? Nasze właśnie upadło. Będziemy utrzymywać, że przemoc zagościła w Björnstad dopiero tego lata, ale to nieprawda. Przemoc już tam była. Czasem tak łatwo sprawić, aby ludzie się znienawidzili, że wydaje się wręcz niemożliwe, by kiedykolwiek miało się to zmienić.

Jesteśmy małą społecznością żyjącą wśród lasów, mówi się, że nie prowadzi tutaj żadna droga, wszystkie są przelotowe. Gospodarka pokasłuje z każdym wdechem, fabryka co roku redukuje zatrudnienie, niczym dziecko, które ma nadzieję, że po tym, jak odkroiło z każdej strony po kawałeczku, nikt nie zauważy, że tort w lodówce się zmniejszył. Jeśli nałoży się na siebie starą i nową mapę miasta, widać, że handlowa ulica i ten mały szlaczek nazywany „Centrum” kurczą się jak bekon na rozgrzanej patelni. Mamy jeszcze halę lodowiska, ale nic ponadto. Z drugiej jednak strony zwykło się tu mówić: „A czego, do cholery, potrzeba więcej?”

Ci, którzy są tu tylko przejazdem, uważają, że Björnstad żyje tylko dla hokeja, i w niektóre dni mają pewnie rację. Czasem po prostu trzeba dla czegoś żyć, by przetrwać wszystko inne. Nie jesteśmy walnięci ani chciwi, na Björnstad można wylać wiele gówna, ale ludzie tutaj są twardzi i ciężko pracują. Zbudowaliśmy drużynę hokejową taką jak my, drużynę, z której moglibyśmy być dumni, bo nie jesteśmy tacy jak wy. Gdy ludzie z dużych miast narzekali, że coś jest zbyt trudne, uśmiechaliśmy się tylko, mówiąc: „Ma być ciężko”. Życie tutaj nie jest łatwe, dlatego też poradziliśmy sobie z nim my, a nie wy. Dawaliśmy radę, bez względu na pogodę. Ale później coś się wydarzyło i upadliśmy.

W przeszłości doszło tu do zdarzeń, za które już zawsze będzie ciążyła na nas wina. Dobrzy ludzie, przekonani, że chronią to, co kochają, popełniają czasami straszne czyny. Chłopak, gwiazda naszej drużyny hokejowej, zgwałcił dziewczynę. A my się zgubiliśmy. Na społeczeństwo składa się suma naszych wyborów i gdy skonfrontowano słowa dwojga z naszych dzieci, wybraliśmy jego wersję. Tak było łatwiej, bo gdyby dziewczyna kłamała, moglibyśmy nadal żyć naszym zwykłym życiem. Kiedy prawda wyszła na jaw, załamaliśmy się, a miasto razem z nami. Łatwo powiedzieć, że powinniśmy byli wszystko zrobić inaczej, ale może nawet ty sam nie wiedziałbyś jak. Gdybyś się bał i musiał wybrać czyjąś stronę, gdybyś wiedział, co musisz poświęcić. Może nie jesteś taki odważny, jak ci się wydaje. Może wcale nie różnisz się od nas tak bardzo, jak masz nadzieję.

To opowieść o tym, co wydarzyło się później, od lata do zimy. O Björnstad i o sąsiednim Hed oraz o tym, jak rywalizacja między dwiema drużynami hokejowymi może urosnąć do zacieklej walki o pieniądze, władzę i przetrwanie. To opowieść o halach z lodowiskami i o wszystkich tych sercach bijących wokół nich, o ludziach, sporcie i o tym, jak czasem się nawzajem dźwigają. O nas, którzy marzymy i walczymy. Niektórzy się zakochają, inni załamią, przeżyjemy nasze najlepsze i najgorsze dni. To miasto czekają wiwaty, ale i płomienie. Nie ominie go też przerażający cios.

Kilka dziewczynek uczyni nas dumnymi, kilku chłopców wielkimi. W ciemnym lesie młodzi mężczyźni w różnych barwach powalczą na śmierć i życie. Jakiś samochód przekroczy prędkość w środku nocy. Stwierdzimy, że to wypadek, ale nikt przecież nie planuje wypadku. Tutaj wszyscy przyznamy, że mogliśmy go uniknąć. To będzie czyjaś wina.

Ludzie, których kochamy, umrą. Pochowamy nasze dzieci pod piękniejszymi drzewami w mieście.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Najwyższym punktem w Björnstad jest wzniesienie na południe od ostatniego domu w mieście. Stamtąd można zobaczyć całą drogę, która zaczyna się przy dużych domach willowych na Wzgórzu, następnie wiedzie obok fabryki i lodowiska, mniejszych szeregowców w centrum aż do czynszówek w Niece. Na szczycie stoją dwie dziewczynki, spoglądają na swoje miasto. Maya i Ana. Niedługo skończą szesnaście lat. Nie sposób powiedzieć, czy zostały najlepszymi przyjaciółkami pomimo dzielących je różnic, czy właśnie dzięki nim; jedna lubi instrumenty, druga broń palną. Ich wzajemna niechęć wobec swoich gustów muzycznych staje się powodem kłótni niemalże równie często co dziesięcioletni konflikt o zwierzęta domowe. Nie dalej jak zimą wyrzucono je z lekcji historii, gdy Maya mruknęła: „Wiesz, kto lubił psy? Hitler!”, na co Ana wykrzyczała: „A koty? Josef Mengele!”.

Ciągle się sprzeczą, kochają nieprzerwanie, od dzieciństwa zdarzały im się dni, gdy czuły, że są we dwie przeciwko całemu światu. Po tym, co przydarzyło się Mai na wiosnę, mają to wrażenie każdego dnia.

Właśnie nadszedł czerwiec. Przez trzy czwarte roku miasto zapuszkowane jest w zimie, ale przez kilka magicznych tygodni trwa lato. Mimo że las wokół nich upaja się słonecznym światłem, a drzewa kołyszą się szczęśliwie przy jeziorach, oczom dziewczynek to nie wystarcza. Ta część roku zwykła być dla nich niekończącą się przygodą, spędzały ją na łonie przyrody, wracały do domu późnymi wieczorami, w dziurawych ubraniach, z umorusanymi twarzami i dziecin-

stwem w oczach. Ale to się skończyło. Są dorosłe. Część dziewczynek nie ma wyboru, zostaje im to narzucone.

Bang. Bang. Bang-bang-bang.

Na zewnątrz jednego z domów matka pakuje walizki dziecka do samochodu. Ileż to razy wykonuje się tę czynność, gdy dorastają? Ile zabawek podnosi się z podłogi, jak często tuż przed spaniem urządza się poszukiwania pluszaków i po ilu zagubionych w przedszkolu rękawiczkach człowieka opuszcza nadzieja, że kiedyś się znajdą? Ileż to razy się myśli, że jeżeli matka natura naprawdę chciała, by ludzkość przetrwała, to ewolucja już dawno powinna zaopatrzyć nas w łyżki do butów wyrastające rodzicom z łokci, tak byśmy mogli sięgnąć pod wszystkie te cholerne kanapy i lodówki? Ileż to godzin czekamy w korytarzach na nasze dzieci? O ile siwych włosów nas przyprowadzają? Ile własnych życ poświęcamy na ich jedno? Co jest niezbędne, by być dobrym rodzicem? Niewiele. A jednak wszystko. Dokładnie wszystko.

Bang. Bang.

Na wzniesieniu Ana odwraca się do swojej najlepszej przyjaciółki.

– Pamiętasz, jak byłyśmy małe? I zawsze chciałaś się bawić, że mamy dzieci? – pyta.

Maya kiwa głową, nie spuszczać wzroku z miasta.

– Nadal chciałabyś mieć dzieci? – zastanawia się Ana.

Usta Mai prawie się nie otwierają:

– Nie wiem. A ty?

Ana wzrusza ramionami zarówno ze złości, jak i ze smutku.

– Może jak już będę stara.

– To znaczy?

– No, koło trzydziestki.

Maya długo się nie odzywa.

– Chciałabyś mieć chłopców czy dziewczynki? – pyta w końcu.

Ana odpowiada, tak jakby całe życie poświęciła tylko na rozmyślanie o tym:

– Chłopców.

– Dlaczego?

– Czasem świat jest dla nich nikczemny. Ale dla nas jest taki prawie zawsze.

Bang.

Mama zamyka bagażnik, powstrzymuje płacz, bo wie, że jeśli uroni choćby łzę, to nigdy nie będzie już mogła przestać. Nie chcemy płakać przy dzieciach, bez względu na to, jak są duże. Robimy dla nich wszystko, chociaż one nie zdają sobie z tego sprawy, nie rozumiejąc jeszcze ogromu czegoś tak bezwarunkowego. Miłość rodzicielska jest nieznosna, niechlujna i nieodpowiedzialna. Dzieci wydają się takie maleńkie, gdy śpią w łóżeczkach, a my siedzimy obok, wewnątrz nie przytłoczeni. Przed nami życie wypełnione niedoskonałościami i wyrzutami sumienia. Zdjęcia obrazujące szczęście stawiamy zawsze na widoku, nigdy nie pokazujemy jednak tego, co dzieje się między nimi, do albumu chowamy wszystko, co sprawia ból. Ciche łzy w ciemnym pokoju. Leżymy, nie mogąc usnąć, przestraszeni tym, co może im się wydarzyć, na co mogą zostać narażone, w jakich sytuacjach życie robi z nich ofiary.

Mama obchodzi samochód i otwiera drzwi. Nie różni się specjalnie od innych mam. Kocha, boi się, załamuje, przepełnia ją wstyd, czuje, że wszystko, co robi, to za mało. Siedziała przy łóżku trzyletniego syna i przyglądała mu się, gdy spał, obawiając się, dokładnie tak jak inni rodzice, tych wszystkich strasznych rzeczy, które mogą mu się przydarzyć. Nie sądziła tylko, że to on będzie ich sprawcą.

Bang.

Nadchodzi świt, miasto śpi, droga wyjazdowa z Björnstad wije się opustoszała, ale dziewczynki wbijają w nią wzrok. Cierpliwie czekają.

Maya nie śni już o gwałcie. Ani o dłoni Kevina na jej ustach, cięzarze jego ciała duszącym jej krzyk, pokoju z hokejowymi pucharami na półkach i podłodze, na którą potoczył się guzik bluzki. Jej sny wypełnione są teraz tylko ścieżką do biegania wokół Wzgórza, którą widzi także stąd. I Kevinem biegnącym samotnie, gdy wyszła z ciemności z bronią w ręku. Cały się trząsł i płakał, prosząc ją o łaskę, gdy przyłożyła mu pistolet do czoła. We śnie zabija go każdej nocy.

Bang. Bang.

Ile razy matce udaje się rozśmieszyć dziecko? Ile razy dziecku udaje się wywołać głośny śmiech matki? Całe nasze wnętrze wywraca nam się do góry nogami, gdy po ich psikusie zauważamy, że po raz pierwszy robią to celowo. Żartują, ucząc się manipulować naszymi uczuciami. Kochając nas, uczą się kłamać, chronić nasze uczucia, udawać szczęście. Szybko przyswajają, czego byśmy sobie życzyli. Możemy się łudzić, że je znamy, ale one tworzą własne albumy i dorastają między zdjęciami.

Ile to razy mama stała na zewnątrz przy samochodzie i spoglądała na zegarek, niecierpliwie pospieszając syna? Dzisiaj nie musi tego robić. Od wielu godzin syn siedział na fotelu pasażera, podczas gdy ona pakowała bagaże. Po tygodniach, kiedy to walczyła, by zmusić go do jedzenia, jego niegdyś wytrenowane ciało wychudło. Wygląda przez okno pustym wzrokiem.

Jak wiele matka jest w stanie wybaczyć synowi? Skąd miała by to zawczasu wiedzieć? Żadni rodzice nie przypuszczają, że ich mały synek wyrośnie kiedyś na sprawcę. Matka nie wie, jakie koszmary dręczą teraz syna, ale chłopak budzi się z nich z krzykiem.

Od poranka, gdy znalazła go na ścieżce do biegania, wychłodzonego i skostniałego ze strachu. Jego spodnie były mokre od moczu, a policzki przemarznięte od łez.

Zgwałcił dziewczynę, ale nikt nigdy nie potrafił mu tego udowodnić. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że uszło mu to płazem i że jego rodzina uniknęła kary. To rzecz jasna racja. Ale matka Kevina nigdy nie będzie się tak czuła.

Bang. Bang. Bang.

Gdy samochód rusza w górę drogi, Maya stoi na szczycie wzniesienia i wie, że Kevin nigdy już tutaj nie wróci. Złamała go. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że to oznacza jej wygraną.

Ale ona nigdy nie będzie się tak czuła.

Bang. Bang. Bang. Bang.

Światła stopu na moment się zapalają, mama rzuca ostatnie spojrzenie na dom, który był kiedyś ich domem, i na resztki naklejki na skrzynce pocztowej, na której nazwisko „Erdahl” zniknęło litera po literze. Ojciec Kevina samotnie pakuje drugi samochód. Na ścieżce do biegania stał obok mamy i patrzył na leżącego syna, ze smarkami na bluzie i moczem na spodniach. Ich życie roztrzaskało się dużo wcześniej, ale dopiero wtedy matka zauważyła jego okruchy. Ojciec odmówił pomocy, gdy na wpół niosła, na wpół ciągnęła syna do domu. To było dwa miesiące temu i od tamtej pory Kevin nie wyszedł na zewnątrz, a jego rodzice nie zamienili ze sobą niemal słowa. Życie nauczyło matkę, że mężczyźni definiują się w bardziej kategoriyczny sposób niż kobiety, a mężczyźni w jej domu określali się zawsze jednym słowem – zwycięzca. Odkąd pamięta, ojciec wbijał synowi do głowy jedno przesłanie: „Są trzy rodzaje ludzi. Ci, co wygrywają, ci, co przegrywają, i ci, co się przyglądają”.

A teraz? Jeśli nie są zwycięzcami, to kim? Mama zwalnia hamulec, wyłącza radio, zjeżdża w dół drogi i skręca w jednym kierunku. Syn siedzi obok. Ojciec wsiada do drugiego samochodu, samotnie rusza w przeciwną stronę. Papiery rozwodowe zostały wysłane razem z listem do szkoły, informującym, że ojciec wyprowadził się do innego miasta, a mama z synem wyjechali za granicę. Na wypadek ewentualnych pytań poniżej widnieje numer telefonu do mamy, ale nikt nie zadzwoni. To miasto zrobi wszystko, by zapomnieć, że rodzina Erdahlów kiedykolwiek była jego częścią.

Po czterech godzinach w ciszy, gdy są tak daleko od Björnstad, że nie widać już lasu, Kevin szepcze do mamy:

– Myślisz, że można się stać innym człowiekiem?

Mama kręci głową, zagryzając dolną wargę, mruga tak szybko, że nie widzi drogi przed sobą.

– Nie. Ale można być lepszym.

Drżąc, Kevin ściska jej dłoń. Mama trzyma go, jakby miał trzy lata, jakby wisiał nad przepaścią. Szepcze:

– Nigdy ci tego nie wybaczę. Ale nigdy cię też nie opuszczę.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Tak właśnie brzmi to miasto, wszędzie. Prawdopodobnie można to zrozumieć, tylko jeśli się tu mieszka.

Bang-bang-bang.

Dwie dziewczynki na wzniesieniu przyglądają się odjeżdżającemu pojazdowi. Niedługo skończą szesnaście lat. Jedna z nich trzyma w dłoni gitarę, druga broń.

Najgorsze w innych ludziach jest to, że jesteśmy od was uzależnieni. Wasze czyny mają wpływ na nasze życie. Nie tylko tych, których wybieramy i lubimy, ale również pozostałych – idiotów. Wy, stojący przed nami w kolejce, wy, którzy nie potraficie porządnie jeździć samochodem, lubicie słabe seriale telewizyjne, za głośno rozmawiacie w restauracji, i wy, których dzieciaki zarażają nasze w przedszkolu. Wy, którzy krzywo parkujecie, podkradacie nasze miejsca pracy i głosujecie na niewłaściwą partię. Wy też macie wpływ na nasze życie, w każdym momencie.

Boże, jak my was za to nienawidzimy.

Przy barze w Futrze siedzą w rzędzie starsi mężczyźni, milcząc. Mówi się, że są koło siedemdziesiątki, ale równie dobrze mogą mieć dwa razy tyle. Jest ich pięciu, ale mają co najmniej osiem opinii. Mówi się na nich „piątka dziadków”, bo na każdym treningu drużyny Björnstad Hockey stoją przy bandzie, wyklócając się i kłamiąc. Po treningu, nie przerywając kłamstw ani kłótni, idą do Futra. Czasami zabawiają się, wmawiając sobie nawzajem demencję: nocą po kryjomu zmieniają numery na fasadach domów towarzyszy, a gdy któryś się upije, chowają mu klucze. Pewnego razu czterech z nich przepchnęło samochód piątego i zamieniło na identyczny z wypożyczalni, tylko po to, by wystraszyć kumpla, że nadszedł już czas na dom opieki dla starców, gdy następnego ranka nie mógł wyjechać z domu. Idąc na mecz, płacą banknotami z *Monopoly*, a kilka lat temu prawie cały sezon udawali, że są na olimpiadzie z 1980 roku, i za każdym razem,

gdy spotykali dyrektora sportowego Petera Anderssona, rozmawiali z nim po niemiecku, nazywając go Hansem Rampfem. Powoli doprowadzało to dyrektora do szału, a piątce dziadków sprawiało większą satysfakcję niż złoty gol. Ludzie w mieście zwykli mówić, że to całkowicie możliwe, że cała piątka dziadków naprawdę cierpi na demencję, ale kto, do cholery, miałby to niby udowodnić?

Ramona, właścicielka Futra, stawia na barze pięć whisky. Serwuje się tu tylko jeden rodzaj whisky, która koi wiele rodzajów smutku. Dziadki towarzyszyły Björnstad Hockey w drodze na sam szczyt i na sam dół ligowej tabeli. Całe życie. To będzie ich najgorszy dzień.

Mira Andersson jedzie właśnie do pracy, gdy dzwoni telefon. Ma wiele powodów do stresu. Telefon wyslizguje się jej z ręki i spada pod siedzenie. Wiązanka anatomicznych opisów władcy piekieł, która wydobywa się z ust Miry, zawstydziłaby, jak twierdzi jej mąż, nawet bandę pijanych marynarzy. Gdy w końcu udaje jej się dosięgnąć aparatu, kobieta po drugiej stronie słuchawki wciąż potrzebuje kilku chwil, by otrząsnąć się po inwektywach.

– Halo?! – wykrzykuje Mira.

– Eee, przepraszam, dzwonię z S Expressu. Pisała pani do nas w sprawie oferty... – wydusza z siebie niepewnie kobieta.

– Z... przepraszam, skąd? S Expressu? Nie, chyba dostała pani zły numer – stwierdza Mira.

– Jest pani pewna? Mam tutaj napisane, że... – zaczyna kobieta, ale w tym momencie telefon Miry znów ląduje na podłodze, a jego właścicielka wybucha spontaniczną opowieścią o tym, co uważa na temat zarówno organów płciowych, jak i stanu umysłu inżyniera, który zaprojektował ten smartfon. Gdy w końcu udaje jej się podnieść aparat, kobieta pod drugiej stronie zdążyła już sobie wyświadczyć przysługę i się rozłączyć.

Mira nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Czeką na telefon od męża, który ma dziś spotkanie z przedstawicielami gminy w sprawie przyszłości klubu hokejowego. Niepokój spowodowany myślą o konsekwencjach tej rozmowy sprawia, że w jej żołądku zaciska się coraz mocniejszy węzeł. Gdy odkłada aparat na siedzenie pasażera, na wyświetlaczu przez moment, zanim ekran zgaśnie, pojawia się zdjęcie dzieci, Mai i Leo.

Gdyby zatrzymała się na chwilę i sprawdziła w wyszukiwarce S Express, dowiedziałaby się, że to firma przeprowadzkowa. W miastach, które niezbyt przejmują się swoimi klubami hokejowymi, wyglądałoby to może na głupi żart, że ktoś w ich imieniu poprosił o ofertę przeprowadzki, ale Björnstad nie należy do takich miejsc. W milczącym mieście nie trzeba krzyczeć, chcąc komuś pogrozić.

Dotrze to do Miry niebawem, nie jest głupia i mieszka tu wystarczająco długo. Björnstad jest znane z wielu dobrych rzeczy: oszałamiająco pięknych lasów, ostatniej dziczy w kraju, w którym politycy dążą wyłącznie do wzrostu okręgów miejskich. Mieszkają tu przyjacielscy, skromni i ciężko pracujący ludzie kochający przyrodę i sport, publiczność, która zapełnia trybuny bez względu na ligę, w jakiej gra drużyna, emeryci malujący twarze na zielono, gdy idą na mecz. Odpowiedzialni myśliwi, kompetentni rybacy, ludzie twardzi jak las i uparci jak lód, sąsiedzi, którzy przychodzą z pomocą, gdy zachodzi taka potrzeba. Życie jest czasem ciężkie, ale wtedy się uśmiechają i mówią: „Ma być ciężko”. Björnstad jest z tego znane... Ale... no tak, z innych rzeczy też jest znane.

Przed kilkoma laty jeden ze starszych sędziów hokejowych opowiedział w mediach o najgorszych wspomnieniach ze swojej kariery. Na drugim, trzecim i czwartym miejscu uplasował mecze w dużych miastach, w których rozzłoszczeni kibice, nie zgadzając się z jakąś decyzją arbitra, rzucali na lód opakowania snusu, monety i piłeczki golfowe. Na pierwszym miejscu znalazła się ciasna hala lodowiska leżącego głęboko w lesie, gdzie pewnego razu sędzia odgwiżdżał karę dla drużyny gospodarzy w ostatniej minucie meczu. Gdy rywal

strzelił gola i Björnstad przegrało, sędzia spojrział na osławione trybuny z miejscami stojącymi, zajmowane przez „Grupę” i wypełnione zawsze mężczyznami w czarnych kurtkach, którzy wydzierają się i śpiewają wniebogłosy, napędzając wszystkim stracha. W „Grupie” zaległa cisza jak makiem zasiał.

To mąż Miry, Peter Andersson, jako pierwszy zrozumiał nadchodzące niebezpieczeństwo. Pędem ruszył do reżyserki i wraz z sygnałem zakończenia meczu zgasił wszystkie lampy. W ciemności wyprowadzono sędziów i wywieziono ich natychmiast z miasta. Nikt nie musiał im tłumaczyć, co inaczej mogłoby się wydarzyć.

Dlatego spokojna groźba w zupełności tu wystarczy. Rozmowa z firmą przeprowadzkową też. Do Miry dotrze już wkrótce, jaki jest tego cel.

Spotkanie w gminie jeszcze się nie skończyło, ale niektórzy w Björnstad znają już jego rezultat.

Z okien sali konferencyjnej widać wciągnięte na szczyt flagi powiewające na wietrze na zewnątrz budynku, jedna jest w barwach narodowych, druga z herbem gminy. Za kilka dni noc świętojańska. Trzy tygodnie temu Kevin i jego rodzina opuścili miasto, zmieniając tym bieg historii – ale nie przyszłość, lecz przeszłość. Nie wszyscy jednak zdają już sobie z tego sprawę.

Jeden z polityków odchrząkuje nerwowo, ochoczo zabiera się do zapinania marynarki, co na oko teoretycznie możliwe było jakieś pół tuzina wigilii temu:

– Przykro mi, Peter – mówi – zdecydowaliśmy, że dla regionu będzie najlepiej, jeśli przeznaczymy gminne pieniądze na wsparcie jednego klubu hokejowego zamiast dwóch. Chcemy się skupić na... Hed Hockey. Dla wszystkich, łącznie z tobą, najlepiej byłoby po prostu to zaakceptować. Biorąc pod uwagę... sytuację.

Peter Andersson, dyrektor sportowy Björnstad Hockey, siedzi po drugiej stronie stołu. Świadomość, jak bardzo został oszukany, przepełnia go rozpaczą, jego głos jest ledwie słyszalny:

– Ale... pomoc jest nam potrzebna tylko przez kilka miesięcy, dopóki nie znajdziemy więcej sponsorów. Gmina ma tylko poręczyć pożyczkę w banku...

Milknie, zawstydzony własną głupotą. Politycy już przecież rozmawiali z dyrektorami banków. Są sąsiadami, razem grają w golfa i polują, ta decyzja została podjęta na długo przed tym, zanim Peter przekroczył próg tego pokoju. Wzywając go tutaj, politycy dobitnie zaznaczyli, że jest to „nieformalne spotkanie”. Nie będzie z niego żadnego protokołu. Krzesła w sali konferencyjnej są wyjątkowo wąskie, tak aby najwięksi włodarze mogli siedzieć na kilku naraz.

Telefon Petera wydaje dźwięk. Na jego skrzynkę właśnie dotarł mejl z informacją, że dyrektor Björnstad Hockey odszedł z klubu. Zapewne wiedział, co się tu wydarzy, i dawno już dostał propozycję pracy w Hed. Peter będzie zmuszony przyjąć cios samotnie.

Politycy po drugiej stronie stołu kręcą się niespokojnie na krzesłach, Peter wie, co sobie myślą: „Tylko się teraz nie wygłupiaj. I nie proś. Przyjmij to jak mężczyzna”.

Björnstad leży nad dużym jeziorem, z plażą po jednej stronie. O tej porze roku, gdy jest tak ciepło, że prawie można zapomnieć, że zima w tej okolicy trwa dziewięć miesięcy, pełno tu młodzieży. W gąszczu plażowych piłek i wśród buzujących hormonów siedzi dwunastoletni chłopiec w okularach przeciwsłonecznych. To Leo Andersson. Niewielu na tej plaży wiedziało o tym zeszłego lata, ale teraz wszyscy już go znają i zerkają na niego niczym na bombę. Parę miesięcy temu jego siostra Maya została zgwałcona przez Kevina, któremu policja nigdy niczego nie udowodniła, więc uniknął kary. Mieszkańcy się podzielili, większość stanęła po stronie Kevina, nienawiść eskalowała do tego stopnia, że rodzinę Leo próbowano usunąć z miasta. Przez okna pokoju jego siostry wpadały kamienie z napisem KURWA,

dziewczynę gnębiono w szkole, w hali lodowiska zwołano zebranie, podczas którego próbowano doprowadzić do zwolnienia ich ojca ze stanowiska dyrektora sportowego Björnstad Hockey.

Potem pojawił się świadek, równolatek Mai, który znajdował się w tym czasie w domu, gdzie to się wydarzyło, ale to dla nikogo nie miało znaczenia. Policja nie zrobiła nic, miasto zamknęło gębę, dorośli nie pomogli Mai. Tak więc pewnej nocy, niedługo potem, wydarzyło się coś innego. Nikt nie wie, co dokładnie. Ale od tamtej pory Kevin nie wyszedł z domu. Zaczęły się plotki, że zwariował, a któregoś ranka, trzy tygodnie temu, wraz z rodziną opuścił miasto.

Leo myślał wtedy, że wszystko stanie się łatwiejsze. Tymczasem sytuacja zmieniła się na gorsze. Ma dwanaście lat i właśnie się uczy, że ludzie zawsze wybiorą proste kłamstwo zamiast skomplikowanej prawdy. Kłamstwo ma bowiem zaletę nie do przebicia: prawda wymaga opowiedzenia wszystkiego, co się wydarzyło, w przypadku kłamstwa zaś wystarczy to, by łatwo w nie było uwierzyć.

Gdy na wiosennym spotkaniu członków klubu minimalną przewagą głosów zapadła decyzja, że Peter Andersson zostaje na stanowisku dyrektora sportowego, ojciec Kevina natychmiast zadbał o to, by jego syn przeniósł się do Hed Hockey. Do tego samego przekonał trenera, prawie wszystkich sponsorów i najlepszych zawodników drużyny juniorów. Gdy przed trzema tygodniami cała rodzina Kevina nagle opuściła miasto, wszystko stanęło na głowie, ale, o dziwo, nic się nie zmieniło.

I co też Leo sobie myślał? Że nagle wszyscy zrozumieją, że Kevin był jednak winny, i poproszą o wybaczenie? Że sponsorzy i zawodnicy ze spuszczoneymi głowami wrócą do Björnstad? Nikt w tym mieście, do cholery, nie spuszcza głowy, ponieważ to, że nigdy nie chcemy przyznać się do błędu, najprościej tłumaczy wiele najgorszych ludzkich zachowań. Im większy błąd, im straszniejsze konsekwencje, tym więcej tracimy dumy w przypadku ustępstwa. Nikt więc tego nie robi. Nagle wszyscy ludzie z władzą i pieniędzmi w mieście wybrali inną strategię: przestali się przyznawać do tego, że kiedykolwiek przyjaźnili się z rodziną Erdahlów. Zaczęto przebąkiwać, początko-

wo ostrożnie, lecz szybko coraz głośniej, że „ten chłopak zawsze był dziwny”, że „najwyraźniej ojciec za mocno go cisnął”. Potem, niepostrzeżenie, przerodziło się to w komentarze typu: „Ta rodzina nigdy nie była jak... no wiesz... jak my. Ojciec przecież nie był stąd, tylko przyjezdny”.

Gdy wszyscy zmieniali klub, oficjalna wersja brzmiała następująco: Kevin został „niesłusznie oskarżony” i „padł ofiarą polowania na czarownice”. Teraz jednak wszyscy opowiadają całkiem inną historię: że sponsorzy i zawodnicy wcale nie przeszli do Hed za Kevinem, ale zrobili tak właśnie po to, by się od niego „odciąć”. Jego nazwisko wymazano z list członkowskich w Hed, ale nadal znajduje się ono w Björnstad. W ten sposób wszyscy mogli odsunąć się dostatecznie daleko zarówno od gwałciciela, jak i od ofiary. Dawni koledzy Kevina nazywają go teraz „psychopatą”, nadal określając Mayę mianem „kurwy”. Kłamstwa są proste, prawda trudna.

Tak wiele osób zaczęło mówić o Björnstad Hockey jako o „klubie Kevina”, że Hed Hockey automatycznie stało się jego przeciwieństwem. Między rodzicami zawodników a gminnymi politykami krążyły mejle o „odpowiedzialności” i „braku poczucia bezpieczeństwa”. Gdy ludzie czują się zagrożeni, prawie zawsze kończy się to samospełniającą się przepowiednią, jednym małym incydentem za drugim. Którejś nocy na tablicach wyjazdowych na obrzeżach miasta ktoś napisał „Gwałciciele!!!”. Kilka dni później grupa ośmiolatków z Björnstad i Hed została odesłana do domu z obozu harcerskiego po bójce, w której dzieciaki z Hed wyzywały te z Björnstad: „Bjööööörnstad, gwałciciele!!!”.

Leo jest dziś na plaży, pięćdziesiąt metrów dalej siedzą dawni koledzy Kevina, wielcy, wytrenowani osiemnastolatkwowie w czerwonych bejsbolówkach na głowach. To oni pisali w internecie, że Maya sobie „zasłużyła” i że Kevin najwyraźniej był niewinny, bo „nikt by tej dziwki nawet patykiem nie ruszył”, tak jakby Maya kiedykolwiek prosiła kogoś z nich, żeby ją ruszył, czymkolwiek. Teraz ci sami chłopcy twierdzą, że Kevin nigdy nie był jednym z nich, i będą powtarzać to kłamstwo tak długo, aż w końcu kojarzony będzie tylko

z Björnstad. Jakkolwiek przedstawiać tę historię, to chłopcy będą w niej bohaterami. Zawsze na wygranej pozycji.

Leo jest sześć lat młodszy od większości z nich, dużo mniejszy i słabszy, ale kilku jego kolegów napomknęło już, że „powinien coś zrobić”. Że te chuje „muszą dostać za swoje”. Że powinien „być mężczyzną”. Męskość jest skomplikowana, gdy ma się dwanaście lat. W każdym innym wieku też.

Nagle słychać jakiś dźwięk. Wszystkie głowy zwracają się ku kocom. Na całej plaży wibrują telefony. Najpierw jeden czy dwa, potem wszystkie naraz, aż dzwonki przenikają się jak dźwięki wydawane przez niewidoczną orkiestrę symfoniczną, której wszyscy muzycy jednocześnie stroją instrumenty. Wiadomość nadciąga.

Nie ma już Björnstad Hockey.

„To tylko klub, są ważniejsze rzeczy”. Łatwo tak mówić, gdy się wie, że sport składa się jedynie z cyfr. Ale przecież nigdy tak nie jest, a żeby to zrozumieć, trzeba zadać sobie tylko jedno proste pytanie: co czuje dziecko, gdy gra w hokeja? Wcale nie tak trudno na nie odpowiedzieć. Byłeś kiedyś zakochany? Tak właśnie się wtedy czuje.

Poboczem szosy na obrzeżach Björnstad biegnie szesnastoletni chłopak. Ma na imię Amat. W warsztacie samochodowym w środku lasu brudny osiemnastolatek pomaga ojcu układać narzędzia i opony. Nazywa się Bobo. Na tarasie w ogrodzie stoi czteroipółletnia dziewczynka i strzela krążkami w ścianę domu. Ma na imię Alicia.

Amat ma nadzieję, że kiedyś będzie na tyle dobrym hokeistą, że dzięki temu wydostanie się stąd razem z mamą. Dla niego sport to przyszłość. Bobo liczy po prostu na jeszcze jeden sezon beztrioski i śmiechu, ponieważ wie, że później każdy dzień będzie jak u ojca. Dla Bobo sport jest ostatnią zabawą w życiu.

A dla Alicii, czteroipółlatki uderzającej krążki na tarasie? Byłeś kiedyś zakochany? Tym właśnie jest dla niej sport.

Telefony wibrują. Miasto się zatrzymuje. Nic nie rozprzestrzenia się szybciej niż dobra historia.

Amat, lat szesnaście, zatrzymuje się na szosie. Z rękami na kolanach, ciężkim sercem w piersi: bang-bang-bang-bang-bang. Bobo, lat osiemnaście, wtacza nowy samochód do warsztatu, uderza we wgięcie w karoserii: bang-bang-bang. Alicia, cztery i pół roku, stoi na tarasie w ogrodzie. Ma za duże rękawice, kij jest dla niej za długi, ale nie przeszkadza jej to strzelać z całej siły w ścianę: bang!

Dorastają w małym mieście znajdującym się w dużym lesie, gdzie dorośli narzekają, że pracy jest coraz mniej, a zimy są coraz trudniejsze. Lasy robią się gęstsze, a odległości między domami większe, wszystkie surowce znajdują się na wsi, ale wszystkie pieniądze, do cholery, trafiają do dużych miast. „Bo niedźwiedzie srają w lesie, a wszyscy inni srają na Björnstad”. Dzieciom łatwo przychodzi w tej sytuacji kochać hokej, podczas gry nie ma czasu na myślenie. Utrata pamięci to najpiękniejsze, co może dać człowiekowi sport.

Ale teraz przychodzi esemes. Amat przystaje, Bobo upuszcza młotek, za chwilę ktoś będzie musiał wyjaśnić czteroipółlatce, co oznacza, że klub „zbankrutował”. Tak aby wyglądało, że to tylko koniec organizacji sportowej. Choć właściwie zawsze jest inaczej: klub po prostu przestaje funkcjonować, kończą się ludzie.

W Futrze zwykło się mówić, że drzwi mają być zamknięte, tak by „muchy nie musiały marznąć”. Zdarzają się też inne odzywki: „Ty niby się znasz na hokeju? Dupy byś nie znalazł z obiema rękami w tylnych kieszeniach!”, „Znawca taktyki! Jesteś bardziej zagubiony niż krowa

na sztucznej trawie!”, „Nasi obrońcy mają być lepsi w przyszłym sezonie? Nie szczaj mi tu na stopę, udając, że pada deszcz!”. Dzisiaj nikt się nie awanturuje, wszyscy siedzą cicho. To nie do wytrzymania. Ramona napełnia wszystkim szklanki ten ostatni raz. Pięciu dziadków, każdy z nich ma koło siedemdziesiątki, albo i więcej, wznosi krótki toast. Pięć pustych szklanek uderza ciężko o blat. Bang. Bang. Bang. Bang. Bang. Dziadkowie się podnoszą i wychodzą, każdy idzie w swoją stronę. Zadzwonią do siebie jutro? A niby po co? O co mieliby się awanturować, skoro nie ma już klubu?

O wielu rzeczach w małym mieście się nie rozmawia, ale dla dwunastolatka, który wie, gdzie szukać w internecie, nie ma tu tajemnic. Leo już wszystko przeczytał. Mimo gorąca ma na sobie bluzę z długim rękawem. Opowiada, że za bardzo się przypiekl na słońcu, ale tak naprawdę to nie chce, żeby ktoś widział zadrapania. Nocą nie może przestać się drapać, nienawiść wdziera mu się pod skórę. Nigdy nie brał udziału w bójkach, nawet w meczach hokejowych. Przeszło mu przez myśl, że jest jak tata, że nie ma w sobie zdolności do przemocy. Ale teraz marzy, by ktoś go zaczepił, niechcący potracił, dał mu choćby najmniejszy powód, by złapać pierwszy z brzegu ciężki przedmiot i rozwalić go komuś na głowie.

„Rodzeństwo powinno się o siebie troszczyć” – słyszy się wkoło przez całe dzieciństwo. „Nie kłóćcie się! Nie bijcie się! Rodzeństwo powinno się o siebie troszczyć!” A przecież Leo i Maya mieli mieć starszego brata, który może by ich obronił. Nazywał się Izaak i zmarł jeszcze przed ich narodzinami na chorobę, która sprawia, że Leo nie wierzy już w istnienie Boga. Dopóki jako siedmiolatek nie znalazł albumu ze zdjęciami rodziców z Izaakiem, Leo nie do końca rozumiał, że brat był prawdziwy. Na zdjęciach obejmowali się mocno, rozbawieni i bezgranicznie się kochający. Tego dnia Izaak, nawet pod swą nieobecność, nauczył Leo niesamowicie wiele o życiu. Nauczył go, że miłość nie wystarczy. To straszne dowiedzieć się tego w wieku siedmiu lat. W każdym innym wieku zresztą też.

Ma dwanaście lat i próbuje być mężczyzną. Cokolwiek to znaczy. Próbuje przestać rozdrapywać nocami skórę i cicho płakać, skulony pod kołdrą, próbuje nienawidzić, tak by nikt tego nie zauważył i nie zrozumiał. Próbuje zabić myśl, od której nie chce uwolnić się głowa. Rodzeństwo ma się sobą opiekować, a on nie był w stanie obronić siostry.

Nie był w stanie obronić siostry, nie był w stanie obronić siostry, nie był w stanie obronić siostry.

W nocy tak długo drapał się po brzuchu i klatce piersiowej, że na skórze zrobiła mu się rana, z której powoli sączyła się krew. Rano przeglądał się w lustrze i stwierdził, że rana wygląda jak lont wijący się w kierunku serca, który może już w nim płonie. Zastanawia się, ile mu jeszcze zostało.